Nr. 21. We Lwowie dnia 21. Maja 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

20)

Bunt Napierskiego.

Poemat dramatyczny.

(Dokończenie.)

Łętowski.

Stracona
już wschodnia brama!... A nasz hetman ranny!

Napierski

(z baszty, chwiejąc się i chwyciwszy się za głowę).

To nic, mój druhu... krew się z głowy leje —
lecz — zginęliśmy...

3-ci góral

(z oddziału Czepca, wskazując na Napierskiego, śród zamętu).

Wiązać ich — tych zdrajców
(Śpiewa:)
Panowie, panowie,
będziecie panami,
ale nie będziecie
przewodzić nad nami!...

(Górale Czepca zwyciężają oddziały Łętowskiego, wiążą starszyznę itd., wszystkie powyższe wypadki dzieją się prawie równocześnie — i z błyskawiczną szybkością).

Łętowski.

Haj! ulegliśmy!...

Radocki.

Sam Bóg nas opuścił.

Napierski

(ranny, po bezskutecznej walce skrępowany, wskazuje na Czepca).

On was uwolnił z ręki Biczyńskiego,
a dziś skrępował...
(Tymczasem)

Hanusia

(wyrwawszy strzelbę jednemu z górali).

Nabita?

Jeden z górali.

Jakożby?
Spróbuj! — — nabita!

Hanusia.

(mierzy do Czepca. Strzał).

Czepiec.

Chybiłaś!
(Tymczasem wchodzi wschodnią bramą)

Jarocki (z swem wojskiem).

Czepiec

(do Jarockiego, wskazując na Hanusię).

To moja!
moja dziewczyna, którą —
(wskazując na skrępowanego Napierskiego)
ten mi uwiódł!

Napierski.

Nie była twoją i nie będzie twoją...
(Patrząc na Hanusię).
A co się z naszej narodzi miłości,
szlachetne będzie i wierne, choć może
powstało z grzechu...

Hanusia.

Luby Ja nosiku!
Ranny!!! (wybiega).

Jarocki (do Czepca).

Tyś Czepiec?... Życiem ci darował
razem z wolnością, ale — precz, ty — chamie!

Czepiec

(zdeprymowany odchodzi na bok).

Jarocki.

Panie Napierski!.. Oddaj mi swój rapier —
jesteś mym jeńcem wraz z twymi druhami.

Napierski.

Zdrada mi rapier wytrąciła z ręki —
stoję bezbronny...

Jarocki
(rozcinając mu pęta).

Ja ci swoją szablą
rozetnę więzy... Wielce podziwiałem
twoją odwagę — i cześć jej! — Żołnierskie
moje rzemiosło, nie idące z najmu,
ale z miłości tej biednej ojczyzny,
na którą w szale, niepojętym dla mnie,
śmiałeś się targnąć — ty, królewski synu,
walor w mych własnych straciłoby oczach,
gdybym urągał chociaż jedną chwilę
twej waleczności...

(Zwracając się ku Łętowskiemu).

A i wy, Łętowski,
i wy, Radocki, staliście na murach
z otwartą piersią... Sprawiedliwość czeka
na wasze gardła, bo takie jest prawo —
aleć to mówię: szkoda krwi rycerskiej,
która wam płynie pod prostą siermięgą
i żar swój traci w rozboju i buncie,
chociażby mogła dokazywać cudów
w walce z wrogami, szarpiącymi ciało
naszej Macierzy... krzywda się wam dzieje?

Łętowski.

Niema rachunku na te krzywdy nasze...
choć my tam nieraz bronili szlacheckiej
sprawy na polach... ze Szwedem... i z Węgrem...
z Niemcem.. i...

Radocki (przerywając).

Prawda!.. Niejeden Filistyn
zginął z rąk naszych, a przecie my ino
służkami dla was. — Tak teraz my wyszli
szukać tej chłopskiej, zgubionej swobody.

Jarocki.

Dobrze! lecz droga nie tędy prowadzi —
cel miała bliski, ale wyminęła
wszelką uczciwość...

Napierski.

A waść jaką drogą
wszedłeś do zamku?.. Wszakże zdradą! zdradą!..
Wykorzystałeś jedną z tych ponurych,
tajemnych potęg, które, acz są wieczne
i z przeznaczenia idzie ta ich ślepa
i prawie niema konieczność, to przecież
ci, co w swe ręce wzięli — bądź z przypadku,
bądź nawet może z ślepej konieczności —
te szale prawa, wciąż się wahające
nad globem świata, powinni zdobywać
glob ten uczciwie...

Jarocki.

Może jestem winien,
żem się zapomniał, że umiałem szukać
skończenia dzieła w tem, co zawszeć lichem
i zawsze niskiem było i zostanie...

Hanusia
(wraca z okładem, chcąc zawinąć ranę Napierskiemu).

O Janosiku! krew obetrę twoją...
Raniłeś starca, a teraz...

Napierski
(łagodnie odpychając okład).

Me dziewczę!
Odejdź! niech krew ta cieknie...

Hanusia
(z żalem i rozpaczą).

O mój hyrny!

Napierski
(łagodnie odprowadza ją prawie omdlałą na stronę).

Spocznij!..

Hanusia.
(machinalnie siada na gruzach — zrozpaczona, na pół martwa).

Napierski (do Jarockiego).

Posłuchaj, mości pułkowniku!
Jedno słóweczko — nim na pal powiedziesz:
Jest w przyrodzeniu naszem coś, co siłą
nazwać by można i grzechu i zbrodni —
jeśli tak zechcesz — a czego przyczyna
leży w tem właśnie, że się pewnych chwilach
zapominamy... Z tego zapomnienia
rodzą się wielkie klęski lub zwycięstwa,
wielkie się rodzą cnoty lub występki,
śmierć albo życie. — Ty, będąc na służbie
tego, co w oczach twoich jest przeświętem
i nietykalnem, a co z tej przyczyny,
że jest przeświętem, gardzić winno środkiem,
plamiącym ludzką naturę — ty, panie,
żeś się zapomniał, doszedłeś do celu,
który wyprawy twej jest uwieńczeniem:
masz w swoim ręku tę twierdzę swobody
prędzej, niż może wziąłbyś ją uczciwie...
I ci się także — widzisz — zapomnieli —
jeśli tak zechcesz — i szli bronić tego,
co dla nich zawsze będzie również świętem
i nietykalnem! I oby tak było
na wieki wieków! Inaczej my wszyscy
musielibyśmy zginąć, jak chrabąszcze,
które w majowy wieczór, na przydrożu,
lada przechodzień rozmiażdża swą stopą...

Jarocki.

Mości Napierski! Nie jestem ci wrogiem,
acz na śmierć wiodę twe męstwo rycerskie
i twoją wiarę w to, co choćby nawet
ze zapomnienia wyszło, zawsze będzie
grzechem i winą...

(Wchodzi Mojsze z Surą i czterema żydkami).

Mojsze
(z chlebem i solą, wraz z towarzyszami, ubrany odświętnie, kłaniając się).

Wielki jenerale!
My biedne żydki... (wskazując na Surę i żydów).
To jest moja Sura,
a to są nasi żydkowie —

Jarocki.

I owszem.

Mojsze.

My biedne żydki, co nas te gałgany,
(wskazując na Napierskiego i resztę)
te buntowniki — —

Napierski

(wybuchając serdecznym śmiechem).

Hahahaha! Mojsze...

Jarocki (do żydów).

Precz stąd!

Mojsze.

Przepraszam.. ja chciałem powiedzieć,
co my tu przyszli powitać naszego
wielkiego zbawcę, który nas wyzwolił
z ziemi egipskiej, od tych faraonów,
nu, od tych zdrajców — —
(podaje Jarockiemu tacę z chlebem i solą).

Jarocki

(wcale nie odbierając tacy) Odejść mi!..

Mojsze

(zwracając się z tacą w ręku ku wyjściu na pół szeptem).

Aj! aj! aj!
My biedne żydki... Aj! aj! aj!

Sura

(wzrokiem, pełnym współczucia spojrzawszy na Napierskiego).

Joszua!..
(Wychodzą).

Jarocki (do swoich).

Jeńców pod strażą trzymać, po żołniersku,
bez krzywd i obelg, a tych, co polegli,
godnie pochować!... A potem do drogi!

Napierski.

O jedną łaskę proszę, jeśli wolno:
(wskazując na Łętowskiego, Radockiego i resztę swoich)
Każ im rozwiązać te hańbiące pęta!
To moi bracia, najwierniejsi bracia...

Jarocki (do swoich)

Uwolnić z więzów pana Łętowskiego
i Radockiego i resztę — a zasię
do komnat odwieść to dziewczę...

Hanusia

(która przez cały czas siedziała na boku, jak martwa, teraz nagle zrywając się).

Nie pójdę!
Ostanę tutaj.... tu! przy moim ojcu
i mym Janiczku! —

Jarocki

(Dawszy znak, aby zostawiono ją w spokoju, do Napierskiego)

Mości pułkowniku!
(wskazując na Łętowskiego, Radockiego itd.)
Żal mi ich bardzo, że się zapomnieli —
żal mi ich szczerze...
(daje znak żołnierzom, aby Łęt., Rad., i innych jeńców wyprowadzili.)

Napierski

Pozwól im pozostać
przy mnie do końca — razem na śmierć pójdziem
nierozłączeni...

Jarocki

(daje odpowiedni znak; ujrzawszy żołnierzy, wprowadzających Salkę Nieznaną na scenę).

A tam co?

Jeden z żołnierzy.

Pod zamkiem
schwycili nasi tę wiedźmę... Żebraczka
albo wróżycha... Zawszeć podejrzana. —

Salka Nieznana.

Komu powróżyć?.. Jasny królewiczu!
wróżyłam tobie... Pamiętasz przypowieść:
Raz przeznaczenie...

Jarocki (do Napierskiego).

Czy to może jedna
z twych wysłanniczek?

Podczas tego

Hanusia

(tuląc się z przerażeniem do ojca stojącego w pewnem oddaleniu, szeptem, na pół nieprzytomna do siebie).

Salucha!.. Salucha!..
Łuna świeci...
krew się leje. —
a w zamieci,
a w zawieje
junak leci...
A tu na szyji krew — czerwona plama,
jakby od miecza...

Napierski

(niechcąc zdradzić Salki, milczy).

Salka Nieznana (odpowiadając Jarockiemu).

Bieda, panie, bieda,
nie wysłanniczka — a może! a może...
pszczółka na wrzosach... Chodząca po żebrach,
stara wróżycha...

Czepiec

(przecisnąwszy się przez tłum, idzie do Jarockiego).

Panie pułkowniku!..

Jarocki.
Odejść!.. Warować, aż go zawołają!..

Czepiec.
(spojrzawszy na Salkę — żegna się zabobonnie, ze strachem).
Tfu!.. W imię Otca i Syna i Ducha...

Salka Nieznana.
Komu powróżyć? (Do trzymających ją żołnierzy).
Nie szarpcie łachmanów!..
Niestać na nowe!.. a krzywda jest krzywdą —
Lepiej grosz dajcie starej babulinie —
lub kroplę wina — albo kromkę chleba...
Krzywda jest krzywdą...

Jarocki.
Wypędzić ją z zamku,
niech sobie idzie!..

Salka Nieznana.
O tam! ku Krakowu —
aby popatrzeć, jak będą na palu
ginąć królewscy synowie... Powróżę...
(Na znak Jarockiego żołnierze ją wyprowadzają)
Na czarnych piórach przylecą... rozdziobią...
Nic nie zostanie... tylko wstyd i hańba...
I wielka nędza... i wielka niedola...
Na czarnych piórach przylecą... Aj, panie,
panie Jarocki...
(Znika w tłumie żołnierzy).

Jarocki.
Krzywda zawsze-ć krzywdą!...
Przecież nie wolno nikomu dochodzić
krzywdy tej — buntem... Jest prawo... A prawo
na bunt ma turmy, a zaś dla przywódców
miecz i pal ostry, albo szubienice!

Napierski.
Bezduszne prawo i okrutne!...
(Zwracając się do Łętowskiego, Radockiego i innych:)
Bracia!
Proszę, przebaczcie:...

Łętowski (do Napierskiego).
A cóż wam przebaczać?
na śmierć idziemy jakby na wesele!
Miecz, pal i słupy wcale nam nie straszne!

Hanusia
(budząc się z odrętwienia).
Miecz, pal i słupy? dla kogo? dla kogo?
Dla Janosika i dla mego ojca?!...
(do Jarockiego)
Ty ścinać będziesz?.. ty będziesz nabijał?!
Ty będziesz wieszał? — zbrodniarzu!

Napierski
(Do Jarockiego).
O wybacz!
ten głos rozpaczy!...

Hanusia
(z zaciśniętą pięścią).
Zbrodniarzu!

Napierski.
Bądź cicho
cicho ty — dziecię!...

Radocki.
Nie bój-że się o nas!
Pójdziem odważnie, wszak my chrześcijanie:
jak katakomby była nasza dola —
dość było czasu nawyknąć do śmierci...

Hanusia
(na pół nieprzytomna — do siebie).
A kto kołysać będzie nasze dziecię?
(Mówiąc na pół szeptem)
Hej! uleciał orzeł,
ku słońcu się rzucił
i do swojej żenki...
nie wrócił... nie wrócił...

Napierski
(tuląc Hanusię, którą następnie puszcza)
Dziecko!... Spokoju!... Tak... Panie Jarocki!...
Na pal mię prowadź, miecz czy szubienicę...
Padłem wraz z tymi!... Ta moc mię zwaliła,
co w szumie wichru halnego wywraca
jodłę, stojącą pośród jodeł... Czemu!?
Pytać daremnie! Takie przeznaczenie..
Jeśli w tem dziele, które wy zechcecie..
buntem nazywać, była czyja wina,
to tylko moja... a zasię największa,
gdy syn królewski, urodzony z krzywdy,
miał kiedy własną osobę na względzie...
Ale to przeszło w sam czas by nie skazić
tego, co świętem jest nietykalnem
w tym naszym... buncie!..

Jarocki (do swoich rozkazując).
Czas się wam gotować
w drogę...

Łętowski (do Hanusi, żegnając się z nią).
Powracaj, Hanusiu, do matki
i strzeż chudoby...

Napierski.
I kołysz me dziecię!...

Jarocki
(wskazując na Hanusię, do żołnierzy).
Teraz do komnat... aby sił nabrała,
zasię do domu bezpieczny dam konwój...

Hanusia.
Nie, z ojcem pójdę i mym Janosikiem!...
Na pal!...
(Żołnierze gwałtem ją odprowadzają).

Łętowski.
Hanusiu! do domu!...

(Słychać rozpaczliwy głos Hanusi)
Janiczku!...

Napierski.
Żegnaj, me dziecię, na wieki! na wieki!...
Hej! Krzysiu! Krzysiu! skończyłeś na basztach!
Byłbyś mi jeszcze zagrał weselnego...
Ze śpiewką nie żal umierać!... Hej Krzysiu!

Łętowski.
Na pal! Na słupy!... Nie żal!... Myć walczyli
o nasz dobytek, o naszą swobodę,
o nasze żony, nasze córki młode,
o naszą przyszłość, którą świat ten gniecie...

Radocki (uroczyście).
O to, by Chrystus zawładnął na świecie!...
(Równocześnie)

Chór górali Łętowskiego
(wychodząc pod konwojem żołnierzy Jarockiego).
Od buczka! do buczka!... Zasię do jawora!
czeka nas, w Krakowie więzienna komora!
My, junaki młode,
giniem za swobodę... Haj!...

16)

O Syberji i Kamczatce.

DR. B. DYBOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Dla wszystkich naturalistów i obcych i swoich był zawsze Łagowski z wylaniem uczuć najserdeczniejszych, w potrzebie każdej stawał się ich patronem, orędownikiem i opiekunem; wyrobił np. pozwolenie na pobyt w mieście dla Konstantego Żebrowskiego (ornitologa) *), dla Hartunga (chemika i entomologa), dla Ekerta (chemika i technologa), Herbsta (aptekarza i botanika) etc.; zajął się także z gorliwością, sobie właściwą, losami pierwszej ekspedycji Mikołaja Przewalskiego, podówczas jeszcze tylko kapitana, a nadto człowieka w chwili danej nie bardzo dobrze widzianego w sferach wojskowych petersburskich. Trzeba bowiem wiedzieć, że owa straszna zawziętość na polaków, nienawiść do nich, ziejąca z organów publicystyki patrjotycznej moskiewskiej, a także po części i petersburskiej, jakie się w latach sześćdziesiątych objawiły powszechnie wśród warstw rządzących i urzędniczych, odbiły się także niekorzystnie na osobie Przewalskiego, który miał to nieszczęście, że brzmienie i pisownia nazwiska jego nie były rdzennie rosyjskie. „Gdyby się był pisał Pszewalskij, albo Pierewalskoj zamiast Prżewalskij“, powiadał Eskadr-major i generał-adjutant Skołków, „nikt by go o jakąś polskość nie był posądził, ale gdy się afiszuje nazwą, mającą brzmienie i pisownię polską, to łatwo powstać może podejrzenie, że jest i że chce uchodzić za osobę pochodzenia polskiego“ — (lico polskawo proischożdienja). A takie osoby jak wiadomo, zostały pozbawione mocą ukazów najwyższych, wielu praw obywatelskich, zaś wskutek gorliwości patrjotycznej władz niższych bywały one odsądzane nawet od praw człowieka, bo wiedziano wtedy dobrze o tem, że się nikt za pokrzywdzonymi nie ujmie i nie skarci krzywdzicieli, przeciwnie w sferach urzędniczych miano przekonanie, że taka czynność prześladowcza uznaną będzie za dowód wysokiego patrjotyzmu z ich strony i za działalność niezmiernie pożyteczną, w interesie państwa podjętą, a tem samem godną pochwał i nagrody. Że łatwo było wtedy nabrać takiego przekonania świadczą fakty rozmaite, z pomiędzy nich wybierając, dosyć tu wspomnieć o historji majątków i zbiorów Walickiego, hr. Edw. Czapskiego i o losach Romera.



Mikołaj Przewalski.
Fotografja z roku 1870.

*) Konstantemu Żebrowskiemu ułatwił wstęp do gabinetu Towarzystwa geograficznego, i wyrobił mu miejsce kustosza działu ornitologicznego. Żebrowski uporządkował zbiór cały, wypychał ptaki, zebrane np. podczas ekspedycji barona Majdla i Karola Neumanna do kraju Czukczów etc. Zmarł w Irkucku na gruźlicę. Hartung i Ekert wrócili do kraju, obaj zmarli w Warszawie na gruźlicę.

Prześladowania ze strony władzy wykonawczej, szczucie mas ciemnych na wszystko, co polskie, zohydzanie i wypaczanie celów i dążności najszlachetniejszych, przy pomocy prasy niesumiennej, etc., wymagały od ludzi pochodzenia polskiego, żyjących wśród towarzystw rosyjskich, a szczególniej od osób, pragnących znaczenia na świecie, marzących o karjerze lub dobrobycie, silnej odporności, ażeby one ze swych nazw, swego sumienia, z całej swej duszy nie wymazały doszczętnie i w nich nie zatarły ostatnich śladów, a nawet cienia śladów „ducha polskiego“ — (polskawo ducha). To też podziwiać trzeba stałość Przewalskiego, że potrafił wytrwać przy pisowni polskiej swojego nazwiska. Stałość taka jest tembardziej podziwienia godną, że go do niej nie zniewalało żadne uczucie patrjotyzmu polskiego, gdyż nigdy siebie za polaka nie podawał, jakkolwiek przyznawał możność, a nawet prawdopodobieństwo pochodzenia z rodu polskiego; sympotyzował z polakami, nie stronił od nich, miał nawet przyjaciół pomiędzy nimi, rozumiał i czytał po polsku, miał przy sobie ornitologję Tyzenhauza, dzieła Taczanowskiego etc., lecz idea odrębności polskiej była dlań tyle niesympatyczną, o ile nią była naprzykład idea odrębności Rusinów, Czechów, Serbów, Chorwatów, Czarnogórców, a nawet Węgrów, Turków etc. On pragnął wielkiej, potężnej Rossji, jednej wschodniej monarchji, z absolutnym pasterzem na czele, a to dla tego tylko, ażeby państwo tak pomyślane, mogło działać skutecznie w myśl jego pragnień, ażeby zawsze wychodziło zwycięzko z walki, według jego zdania, koniecznej i nieuniknionej. ze znienawidzonymi przez niego: Niemcami, Anglikami, a po części i Francuzami. Złamać potęgę „nikczemnej“ polityki Zachodu, nieść pochodnię oświaty na wschód, wraz z wiarą prawosławną i językiem urzędowym, pochłaniać wszystko, przetrawiać, niszczyć nawet, byleby się utworzył potrzebny amalgamat bierny, podatny dla wszelkich zakusów, słusznych, czy nie słusznych państwa potężnego. Takie były mgliste rojenia ówczesnego Przewalskiego, kiedy był tylko kapitanem i młodszym adjutantem przy gubernatorze kraju nadmorskiego (Primorskaja Obłast'). Rojenia te jego nazywano wtedy na Amurze „systemem owraniania“ *) (awranitielnaja sistiema) i żartowano z nich, nie przewidując wcale, że już nadciąga owa złowroga chmura, z której wypadną gromy „abrusienja“, „abjedinienja“, tak wstrętne dla wszystkich ludzi myślących, a tak zabójcze dla samego państwa, bo w ten sposób kopie ono sobie dół mogilny.

Nazwa „owraniania“ pochodzi ztąd, że jeden z uczestników sporu, gdy rzecz zaszła w tej materji, biorąc przykład z ornitologji, zapytał Przewalskiego: czyby on, jako zapalony myśliwy i namiętny ornitolog zamiast lubować się różnorodnością form ptasich, chciał je sprowadzić wszystkie do jednego rodzaju, np. wroniego i wszystkie piękne, melodyjne i urozmaicone ich głosy i śpiewy zlać w jedno monotonne krakanie; oczywista rzecz, że na taki gwałt nie przystał by nigdy ornitolog. Otóż jeżeli naturalista i myśliwy nie znalazłby żadnej satysfakcji w tak pomyślanym stanie rzeczy, to czyż nie jest szaleństwem żądać i pragnąć czegoś podobnego dla ludzkości? Poglądy swoje wypowiadał w owe czasy Przewalski często, udzielając np. rady komisji, wysłanej wtedy na Amur i Ussuri pod kierownictwem generał-adjutanta Skołkowa, a gdy przedstawił jej swój projekt, dotyczący rusyfikacji Korejczyków, osiedlonych w obrębie państwa rosyjskiego, tuż u granicy Korei, w wioskach Tyzen-che, Janczy-che i Sidemi. Zapatrywania swoje ogłosił następnie w pracy, odnoszącej się do kraju nadamurskiego. Niestety rady Przewalskiego przyjęte zostały, przesiedlono Korejczyków gwałtem z nad granicy korejskiej na Amur, ażeby jak się wyrażał Przewalski „nie widząc gór rodzinnych, łatwiej zapomnieć mogli o swej ojczyźnie“. Większa część tych nieszczęśliwych ofiar wymarła w drodze, nie doczekawszy się błogich skutków „owraniania“, zaś reszta zamieniła się w proletarjat i niemoralnością swoją, nabytą, wraz z prawosławjem, na nowem miejscu osiedlenia, we wsi „Pucyłówce“, już w kilka lat potem w niczem nie ustępowała swoim sąsiadom, nauczycielom, rdzennym obywatelom kraju, wtedy, kiedy na dawnych swoich siedzibach ci sami Korejczycy, a do tego „bałwochwalcy“ odznaczali się według świadectwa Przewalskiego moralnością, pracowitością i trzeźwością. Tak więc mamy dowód, że i na wschodzie dalekim gwałt dokonany nie przynosi żadnego pożytku dla państwa, a tylko sprzyja jego rozkładowi i że największym nieprzyjacielem ludzkości jest szowinizm.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Nienawiść jakaś żywiołowa do Niemców i Anglików, która wypełniała po brzegi serce kapitana Przewalskiego, była jedynym motorem dla jego pragnień potwornych. Sam on widział dobrze i rozumiał zepsucie i zwyrodnienie moralne sfer rządzących i urzędniczych, ich przedajność, łajdactwa, opowiadał o nich najbardziej ohydne i wstrętne historje; następnie potępiał w czambuł całe duchowieństwo, mienił je pogardliwie wyrazem „mierzost'“, świadczył całym szeregiem faktów jak misjonarze, wysłani w celu nawracania Korejczyków, Chińczyków, Burjatów etc. otaczali się haremem, jak sami pili i rozpajali ludność, demoralizowali ją, a nie kształcili; uznawał stan zbydlęcenia armji, z pomocą której wojował, mienił cały świat kobiecy swego narodu nierządniczym, a lud ciemny, przesądny i ogłupiony barbarzyńczym. Pomimo to wszystko jednak pragnął zwycięstwa dla takiego społeczeństwa, a to tylko z racji tej, że pałał nienawiścią prawie fanatyczną ku Niemcom i Anglikom.

SPŁATA

PRZEZ

7) **PAWŁA BOURGET'A.**

Przekład Eugenji Żmijewskiej.

(Ciąg dalszy.)

Postaram się wytłómaczyć ci dokładnie ten wyjątkowy stan ducha: Otóż, widzisz, gdyby władze zawodowe nie usypiały w nas czasami, to żaden lekarz nie mógłby się nigdy zakochać; z drugiej zaś strony, gdyby te władze, raz już obudzone, nie górowały nad całem naszem jestestwem, to żadna pacjentka nie byłaby bezpieczną wobec lekarza. Taki przykład wykazuje najdobitniej to rozszczepienie ducha, wyrobione w nas wiedzą fachową...

Zatem przyglądając się baczniej moim rodzicom, dostrzegłem przedewszystkiem, że oboje zagrożeni są ciężką chorobą: ojciec nerkową, matka wątrobianą w silniejszym stopniu, niż przypuszczałem. Nie chcę cię nużyć szczegółami moich badań, podzielę się tylko ich wynikiem: doszedłem do przekonania, że ich trapi jakaś ukrywana zgryzota...

— Zgryzota? I nie o ciebie? To niemożliwe. Wszak i ja im się przyglądałem...

— Słuchaj-że! — zawołał niecierpliwie. — Przed tygodniem, w chwili, gdym wychodził ze szpitala świętego Ducha, te obawy i podejrzenia obsiadły mi duszę, jak rój os dokuczliwych. A muszę dodać, że dnia poprzedniego dostrzegłem w matce niezwykłe znękanie.

Moje odwiedziny u pacjentów trwały krócej, niż zwykle... Obliczyłem, że przed wykładem w klinice będę miał czas wstąpić do rodziców i dowiedzieć się o ich zdrowie.

Idę. Wchodzę na trzecie piętro... Gdym już stał u drzwi, miał zadzwonić dwukrotnie — od lat dwudziestu zawsze w ten sposób oznajmiam swoje przybycie — nagle do uszu moich doleciał z wewnątrz odgłos sprzeczki. Nie mogłem słów dosłyszeć, ale rozpoznawałem dwa głosy: jeden mego ojca, drugi był mi nieznany. Nastawiłem ucha, lecz dolatywały mnie tylko urywki zdań i słów, a między innemi ten dwukrotny wykrzyknik mojego ojca:

„Ależ to wstyd, to wstyd!...

Nagle przyszło mi na myśl, że gdyby w tej chwili otworzono drzwi, to ojciec lub matka schwytaliby mnie na gorącym uczynku podsłuchiwania, więc pociągnąłem za dzwonek.

Na jego dźwięk podwójny, głosy umilkły. Usłyszałem zbliżające się kroki ojca. Moje nerwy były tak naprężone, że po skrzypieniu posadzki pod nogami ojca wyczuwałem, że drży cały. Mogłem to był odgadnąć i po tem, że nie mógł natrafić na rygiel i pociągał go dwukrotnie, zanim odsunął. Był tak zmieszany, że nie znalazł słów odpowiedzi, gdym go pytał:

— Może przeszkadzam?

— Bynajmniej — rzekł wreszcie i dodał: — Matki niema w domu, ale poczekaj chwilę: zaraz się załatwię i przyjdę.

Nie chciał, żebym widział osobę, z którą miał rozprawę przed chwilą. Ta osoba przeciwnie, życzyła sobie mnie dojrzeć. W chwili, gdy ojciec wprowadzał mnie do sali jadalnej, otworzyły się na oścież drzwi od kuchni, gdzie wepchnął był niepożądanego gościa. Ten sam głos, który przed chwilą kłócił się z ojcem, rzekł:

— Nie chcę panu przeszkadzać. Wrócę jeszcze w tym interesiku. Wrócę.

Ujrzałem człowieka młodego — w naszym mniej więcej wieku — o rysach regularnych na twarzy zatartej, spodlonej.

Miał ramiona spiczaste, ubranie wisiało na nim, jak na szaragach, a widać było, że donasza starą odzież, kupioną u tandeciarzy. Czuć było od niego wódkę i fajkę, powieki miał nabrzmiałe, a w oczach ogłupienie i bezczelność. Była w nim dziwna mieszanina dumy i upodlenia, zapowiadająca rychły zanik władz umysłowych. Przyjrzał mi się, powtórzył z naciskiem: „Wrócę“ i wyszedł, suwając ciężko nogami.

— To zapewne jakiś biedak, którego twój ojciec wspiera — tłómaczyłem. — Ostrożniej byłoby, co prawda, nie przyjmować takich figur na cztery oczy.

— Że jest żebrakiem, to nie ulega wątpliwości — podchwycił Eugenjusz — ale to nietylko żebrak...

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że w jego głosie, gdy go słyszałem przezedrzwi, w brzmieniu słowa: „Powrócę“, w chodzie nawet była groźba, a nawet przewaga... Gdyby to był żebrak zwyczajny, mój ojciec nie byłby się zmieszał na mój widok; nie byłby unikał moich pytań; nie byłby mnie prosił, abym zamilczał o tem przed matką, jak to uczynił, gdyśmy pozostali sami.

— I owszem — perswadowałem mu. — Wszystko się da łatwo wytłómaczyć. To zapewne jakiś nicpoń, którego twoja matka nie chce już wspierać. Zakrada się on do was w jej nieobecności, aby wyłudzić kilka miedziaków od pana Corbières. (C. d. n.)

Z pism i książek.

Slovanský Přehled p. Adolfa Černego, który czujną trzyma ręką na pulsie narodów słowiańskich, wtóruje uczuciom Polski w półwiekową rocznicę zgonu Słowackiego umieszczonym w majowym zeszycie artykułem Franciszka Kvapila pt.: „U hrobu Julia Słowackého“.

Oto parę wyjątków z tego szkicu, który powinienby być w całości przetłumaczony na język polski.

„W Librairie de Luxembourg, Władysława Mickiewicza — pisze czeski autor — zobaczyłem przed kilku dniami wspaniałe dzieło Małeckiego: „Juljusz Słowacki, jego życie i dzieła“. Pragnąłem poznać je oddawna, a teraz za niewielką ilość franków stało się ono moją własnością, którą wówczas dopiero wypuściłem z ręki, gdym odwrócił ostatnią kartkę książki.

Ubóstwiam Słowackiego. Na ławie jeszcze szkolnej poznałem wszystkie jego utwory. Mickiewicz to potężny obelisk z granitu, który się nie chwieje wśród dziko szalejącej burzy i wichrom stawia czoło, spokojny, wyniosły, majestatyczny. Ale Słowacki! Wspaniała fata morgana czarownych barw, owiana dalekich sfer tajemniczą harmonją. A przytem duch ognisty, burzliwy, rewolucyjny. Mickiewicz budował i wierzył. Słowacki wierzył również, ale i rozpaczał często i walczył z powątpiewaniem. Mickiewicz, acz romantyzmem wykarmiony, był klasykiem z gorejącą duszą Prometeusza w piersi: w Słowackim zrywał się do lotu, walczył i cierpiał duch człowieka dni dzisiejszych. Mickiewicz stał się wieszczem przeszłości i teraźniejszości swego narodu, w Słowackim objawiła się przyszłość, — i jego testamentowi pozostała wierną późniejsza poezja polska, od Asnyka do Tetmajera. A Małecki tak wymownie, tak prawdziwie skreślił jego wizerunek, jako poety i jako człowieka.

I nagle powstała we mnie namiętna chęć zobaczenia kawałka ziemi, gdzie piewca „Kordjana“ i „Balladyny“ spał wiecznym, nieprzespanym snem.

. . . .

Poeta sam sobie wybrał miejsce na Montmartre. Lubił w ostatnich latach życia samotne po cmentarzach przechadzki. Najczęściej bywał na Père Lachaise i Montmartre. Podczas gwiaździstych nocy szukał wśród państwa umarłych ciszy i wypoczynku, za którėmi tęsknił nadaremnie przez całe życie. Ale nie był to natenczas ów Słowacki, który pod wieńcem lodowców alpejskich, nad modrą genewskiego jeziora falą przemarzył najpiękniejsze dni młodości, — ani też ten, co w towarzystwie Krasińskiego błądził w maju 1836 r. po samotnych ulicach Rzymu lub, siadując na gruzach pałaców po cezarach, marzył o nieśmiertelności.

Nie był to również Słowacki, co ze szczytu piramid podziwiał wspaniałość zachodzącego na pustyni słońca, a w klasztorze gór libańskich spowiadał się przed starym mnichem z grzechów swego żywota, piastując już w duszy pomysł „Ojca zadżumionych“. Tembardziej nie był to genjalny autor „Beniowskiego“, który się otrząsa jednym rzutem z obmowy, niechęci, zawiści przeciwników i w poczuciu słusznej dumy do samego woła Mickiewicza: „Bądź zdrów! — A tak się żegnają nie wrogi, lecz dwa na słońcach swych przeciwnych — Bogi“.

Słowacki ówczesny był to autor „Księdza Marka“ i „Snu srebrnego Salomei“...

.....Czuł się opuszczony, samotny, obcy wśród ziomków emigrantów, wśród olbrzymiego ruchu Paryża.

Czuł, że całe życie było dlań szeregiem zawodów, czuł, że ciskając światu pełną garścią skarby swej duszy, pozostał pomimo wszelkich wysiłków, aby znaleść oddźwięk w sercach ludzkich, owym ślepym piewcą z wyspy Chios, który spiewał na pustem wybrzeżu, biorąc szum morza za szmer garnących się ku niemu fal ludzkich. Ale gdy skończył, nie odpowiedział mu ani jeden głos ludzki, ani jedno westchnienie i biedny starzec cisnął harfę i odszedł smutny, nie wiedząc, że najpiękniejsza jego pieśń utonęła nie w sercach ludzkich, lecz w przepaścistej toni Egejskiego morza.

. . . .

Szedłem tą samą drogą, którą 5. kwietnia 1849 r. sunął z kościoła św. Filipa de Roule orszak pogrzebowy za trumną genjalnego piewcy na cmentarz Montmartre. Nieliczny ów orszak składał się z garstki znajomych i przyjaciół Słowackiego, między którymi Mickiewicz się nie znajdował. Trumnę, z miękkiego drzewa, czarno pomalowaną, z białym krzyżem, spuszczono w milczeniu do dołu. Nie było mów pogrzebowych, ni śpiewów, ani jęku dzwonów. Głuchemu szmerowi ziemi, sypiącej się na wieko trumny, towarzyszyło jedynie ostatnie błogosławieństwo kapłana: „Requiescat in pace!“

Serce ścisnęło mi się mimowolnie, gdym przekroczył bramę cmentarza. Zapewne i wtenczas był taki sam słoneczny, cudowny ranek, ptaki unosiły się w powietrzu, a na cmentarzu kwitły krzewy i zieleniły się lipy. Wiosna śmiała się do poety, który już w latach dziecięcych marzył o nieśmiertelności po śmierci . .

. . . .

...Tutaj, w uroczym zakątku cmentarza spoczywa pod olbrzymią lipą drugi król pieśni polskiej...

Z szerokiej, kamiennej podstawy wznosi się skała, z której strzela gładki, bez ozdób, krzyż kamienny. Pod krzyżem spoczywają książki, na pół zakryte wieńcem lauru. Na wieńcu harfa, a za nią w szczelinie skalnej siedzi sowa. O harfę opiera się z prawej strony medaljon z pięknym profilem poety dłuta Oleszczyńskiego. Po zboczach skały pnie się bluszcz. Poniżej na zwoju pergaminu widnieją tytuły dzieł Juljuszowych: „Mazepa“, „Beniowski“, „Ksiądz Marek“, „Anhelli“ itp

Na przednim głazie skały napis:

Jules Słowacki.
Né le 23 Août 1809
Décédé le 3 Avril 1849.

Francuski napis na grobie poety, który był największym „mistrzem słowa“ w poezji polskiej!

Stałem u grobu Musseta na Père Lachaise, w wiele lat później u marmurowej płyty, pod którą spoczywają na protestanckim cmentarzu w Rzymie popioły Shelleya, alem nigdzie nie czuł takiej potrzeby ugięcia kolan, jak tutaj, przy grobie poety-wygnańca. Często może błądził w życiu, ale serce jego było zawsze czyste i dążyło na wyżyny najwyższe ludzkiego życia. Dotarł aż na szczyty ideału, ale go nie doścignął. Nie za życia, lecz po śmierci dopiero sława uwieńczyła mu znużoną skroń. Po śmierci dopiero! A czary szczęścia, którą życie każdemu podaje, wargi jego dotknęły zaledwie....

Kwiatów nie było żadnych na pomniku, ba, ani nawet zeschłego listka. *Tłum. M. W.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.